

Murzynka z Kórnika

Bajka - Napisał Józef Tumidajski

- Czy to noc? Czy to dzień? Czy to noc, czy to dzień? Co widać? Kto mi powie? —łkał rozpaczliwie ślepy zegarek.

Nikt go nie słuchał. Każdy miał pracy po same uszy. Jedną tylko murzynkę drażniły jego ciągle utyskiwania.

- Przestań pan wreszcie! Głowa już mnie boli od twego kwękania! Spać mi nic dajesz ...

- Patrzcie-no, arystokratka! Wylegiwałaby się do samego południa, — sapnęła Mańka-wstańka, z trudem chwytając oddech. Upał był nic lada, a kupujący ni na chwilę nie dawali jej spocząć. Wszelkimi sposobami usiłowali ją przewrócić. Kładli na wznak, na lewy bok, na prawy, daremnie, Mańka nie myślała się poddać, uparcie zrywała się na równe nogi, nie bacząc, że pot leje się już z czoła. Na uprzywilejowaną, nic nie robiącą sąsiadkę, patrzeć nie mogła, taką czuła dla niej odrazę.

A tymczasem nieustanne skargi zegarka doprowadzały biedną murzynkę niemal do szału. I nie bez powodu. Murzynka nie miała ócz. Straciła je dawno, na pierwszym w swem życiu jarmarku. Ktoś z kupujących zapragnął przejrzeć się w jej lusterku

Bo musicie wiedzieć, że murzynka była zarazem lusterkiem, małym, okrągłym lusterkiem z blaszanym brzegiem. Z jednej strony błyszczało srebrzyste, wszystko w sobie odbijające szkło, a z drugiej za cieniutką szybką uśmiechali, się afrykańska panienska, czarna, z kruczemi brwiami i włosami, jak smoła. Najweselsze były oczy, białe, okrągłe, podobne dwom ziarnkom grochu, tak wszystkiego ciekawe, że aż na wierzch wychodziły.

Takie były one dawniej, kiedy czarna księżniczka wygodnie leżała w oknie wystawowem w rynku małego miasteczka. Wówczas nic jeszcze nie wiedziała, jak straszne cierpienia na nią czychają. Godzinami spoglądała na prostokątny rynecek, z koślawą latarnią i zardzewiałą, skrzypiącą pompą w pośrodku, zadowolona ze siebie i świata. Jediną przykrością tych błogich chwil był strach przed aleją, zacieniającą połowę ryneczku. Napastował ją zwłaszcza wieczorem, kiedy drzewa poczynały przybierać potworne, przerażające kształty, a żaluzji okna jeszcze nie spuszczano.

Zdarzyło się przecież, że murzynka razem z innymi zabawkami zawędrowała do budy jarmarcznej. I pierwszy kupujący, oglądając lusterka, spostrzegł jej oczy, białe, wypukłe, niezwykle. Dla zabawy potrząsnął murzynką. Oczy pokulały się hen pod brodę. Dla

zabawy chciał je napowrót wtoczyć. Obracał więc niewidomą na wszystkie strony.

Murzynka zrezygnowała odtąd z patrzenia raz na zawsze. Niczego nieciekawa, razem z kramarką jeździła od miasta do miasta, z jarmarku na jarmark, jedną tylko zaprzątniętą myślą: ukryć się w bezpiecznym kącie straganu, by nikt jej nie spostrzegł.

- Ciekawa jestem, co pan chce tu zobaczyć? - syknęła ku rozpaczającemu zegarkowi. - Mizerną mieścinę, w której jarmark odbywa się raz do roku? Trawa zarosły bruk, ratusz na kółkach, czy kałuże w rynsztokach? A może spoconych chłopów, targujących się zawzięcie o pięć groszy?

W tem odezwał się kogut, wspaniały, o złotym, puszystym ogonie. Na dmuchnięcie kramarki z szumem i trzaskiem rozwijał papierowe, długie cielsko, a potem, kurcząc się, piał tak głośno piosenkę, że aż w uszach dzwoniło.

- Kukuryku! Najpiękniej w kurniku! Kukuryku!

Murzynka czemprędzej odepchnęła przysłaniające ją korale i cała wysunęła się ku przodowi straganu.

- Panie kogucie! Panie kogucie! Gdzie ...

Nie dokończyła. Szorstka dłoń kramarki uniosła ją w górę.

- Widzi panicz, jakie śliczne lustro! A tę murzynkę po drugiej stronie tak trzeba obracać, by oczy jej znowu wróciły na swoje miejsca.

Wykręcana w prawo, w lewo, w górę, w dół, czuła w głowie nieopisany zamęt, skronie rozsadała krew, włos każdy parzył, jak rozpalony kolec. A wzrok nie wracał.

Raz jeszcze przegięła się w bok. Lewe oko zawirowało na czole, zatrzepotało nad brwiami, wahało się w lewo, w prawo, i wreszcie osiadło w swym dole.

Błysnęły białe płachty bud. W luce między nimi zazieleniła się pękata, rdzą dobrze już nagryziona pompa z hełmem spiczastym na szczycie. U jej stóp spoczywało płaskie korytko, o ścianach zarosłych trawą i mchem, a wewnątrz od ciągłego splókiwania wyślizgane do białości. Niżej po wilgotnych kamieniach przechadzały się gołębie, raz po raz zanurzają dzióbki w szpary bruku, by zaczerpnąć tam wody. Murzynka zachłysła się szczęściem.

- Kórniki - To kórnicki jarmark! pisnęła radośnie.

W tem świat cały na nowo utonął w ciemnościach. Nie na długo przecież. Nowy właściciel murzynki nabrał wprawy. Kuliste oczy coraz częściej wpadały w swe gniazda.

Wówczas z kolei wyblyskiwały z mroku lipy alei, to znów dobrze znany, sześcienny ratusz i latarnia o ramieniu oberwanem, stercząca na środku rynkowego placu i całe

zbiegowisko jarmarczne, tłoczące się dokoła.

Wiejskie gosposie oparły się o ścianę ratusza i wyciągały ku przechodniom kosze pełne jajek i pięknie rzeźbione oselki masła, owinięte liśćmi chrzanu i klatki napchane trzepoczącym się ptactwem. W alei rozsiedli się szewcy. Wyglansowane buty, w ordynku ustawione na stolach, czekały nabywcy. Nad nimi na sznurach, rozpiętych między drzewami, wisiały ciężkie, hałaśliwe drewniaki. Opodal piętrzyły się faski i białe drewniane wymborki.

Budy z płóciennymi dachami ciągnęły się długim rzędem. Niektórzy przekupnie wprost na bruku rozesłali płachty, ustawiając na nich sterty jarzyn, woreczki pełne nasion, kosze owoców, garnki, kwiaty. Długie sznury wozów wciąż jeszcze ciągnęły drogą nogą w nogę.

- To kórnicki jarmark! — pisnęła radośnie. Lecz błogie patrzenie wnet ustało. Wpadła w jakąś duszna czeluść o miękkim, huśtającym się dnie.

- Dokąd mnie wiozą? — dyszała niecierpliwie, spragniona nowego widoku.

Jazda trwała wieki. Murzynka na pół już omdlewała, kiedy ją wreszcie wydobyto. Oczy dawno wypadły. Nieprzenikniona ciemność zsanowała dokoła.

Gdzieś blisko rozbrzmiała znana skarga.

- Czy to noc? Czy to dzień? Co widać? Kto mi powie?

- I tyś tutaj! zawołała z ulgą.

- Kto to? Nic nie widzę! zapłakał ślepy zegarek.

- To ja, murzynka ze straganu.

- Ach, to pani jest tą dziwną istotą, co patrzeć nic pragnęła?

- Teraz już nie, jesteśmy w Kórniku.

- Czy to noc, czy to dzień? monotonicznie tykał zegarek.

- Mrrr, co za dziwaczne istoty! - roześmiał kot-mruczek, skrzętnie wylizując z miseczki słodkie krople mleka. - Przecież to biały dzień.

- Nic nie widzimy, - uprzejmie wyjaśniła murzynka. - Gdyby jednak pan był łaskaw poruszyć mną kilka razy, możebym odzyskała wzrok ...

Umył łapki, wylizał futerko, przeciągnął się kilka razy, nim wreszcie zdecydował się skoczyć na okno, gdzie leżała murzynka.

- Baczość! Zaczynamy! Kulululu! - i pchnął murzynkę wzdłuż okiennej framugi.

- Co widać? Co widać? — niecierpliwiał się ślepy zegarek.

- Zaraz ... Och, mieszkamy w rynku! Widać z okna cały jarmark. Pełno bud! Jak stado olbrzymich motyli wiszą nad placem, nieruchomo rozpostarłszy skrzydła. Między nimi mrowią się ludzie.

- Dużo ludzi?

- Głowa przy głowie. A z lewej strony ciągnie się aleja. Dobrze ją znam. Drugiej takiej alei niema na świecie. Jakże nieraz wieczorami bałam się tych tajemniczych drzew. W samym środku nad zbitą masą gałęzi wystrzela drapieżny klon. Wygląda jak orzeł, który skrzydła rozpiął do lotu, a głowę chyli raz w prawo raz w lewo.

- He, he, he! Śpiesz się pani z tern niemądrem patrzeniem! — drwiąco radził kot. - Wnet powróci mój pan, trąci cię palcem i twoje białe oczęta, fiu, polecą precz!

I znów ją pochwyliły chłopięce palce. Ujrzała biały sufit i czeredę much, tańczących wokół złocistej, w dół zwisającej lampy i blask szyb okiennych, skrwawionych słońcem, potem straszliwa ciemność przesłoniła wszystko. Z wieki trwającego omdlenia ocuciła ją monotonna, dobrze znana skarga ślepego zegarka.

- Czy to noc? Czy to dzień? Co widać? Kto mi powie?

- Znowu jesteście razem, panie zegarku!

- Kto mówi? Nic nie widzę!

- To ja, murzynka ze straganu.

- Ach, to pani gotowa była wszystko przecierpieć, byle tylko widzieć... Boję się... Czy pani...?

- Mało. Jedno tylko zostało mi oko. Lusterko mam stłuczone, blaszany brzeg pogięty ...

- Co widać?! Co widać?!

- Ciemno. Siedzimy w jakimś pudle. Dokoła połamane zabawki. To pewno strych. Lecz ... Zaraz ... Słońce zajrzało do okienka. W powietrzu srebrzą się druty telefonu, napięte jak struna. Para wróbli na nich siedzi.

- Dajcie spokój tym wróblom! — parsnął kot, wysuwając się z ukrycia. Ogon uniósł wysoko, by nie uwałął się w pył. - Usłyszą i uciekną, zamiast sfrunąć na dach.

- Dobrze już, dobrze. Za drutem jakieś gałęzie. Zaraz ... Niech się trochę podźwignę. Grusza? To ogród. A za ogrodem, Boże, kórnickie jezioro! Słyszałam o niem od wędki, która w oknie wystawowem przy mnie leżała. Jest ciche, nieruchome. Po jego błękitnej powierzchni płynie perkowica, na grzbiecie dźwiga dwoje piskląt.

- Niesmaczne. Czuć rybami — zawyrokował mruczek.

- Cicho bądź! Nie przeszkadzaj! — zaterkotał ślepy zegarek.

- Wąska, srebrem nabijana wstęga wije się z jednego końca jeziora na drugi. A u przeciwnego brzegu przysiadł czarny bór.

- Hi, hi, hi! — chichotał kot, sadowiąc się na dachu, płonącym od słońca. - Znaczący cudów świata: ślepy zegarek i stłuczone lusterko!